Rok 1901. Lwów, 2. Czerwca Nr. 21.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów ÷ Cicha 5.



Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.



Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 2. Czerwca Nr. 21.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY I LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" LWÓW ✲ Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.



Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem.

Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

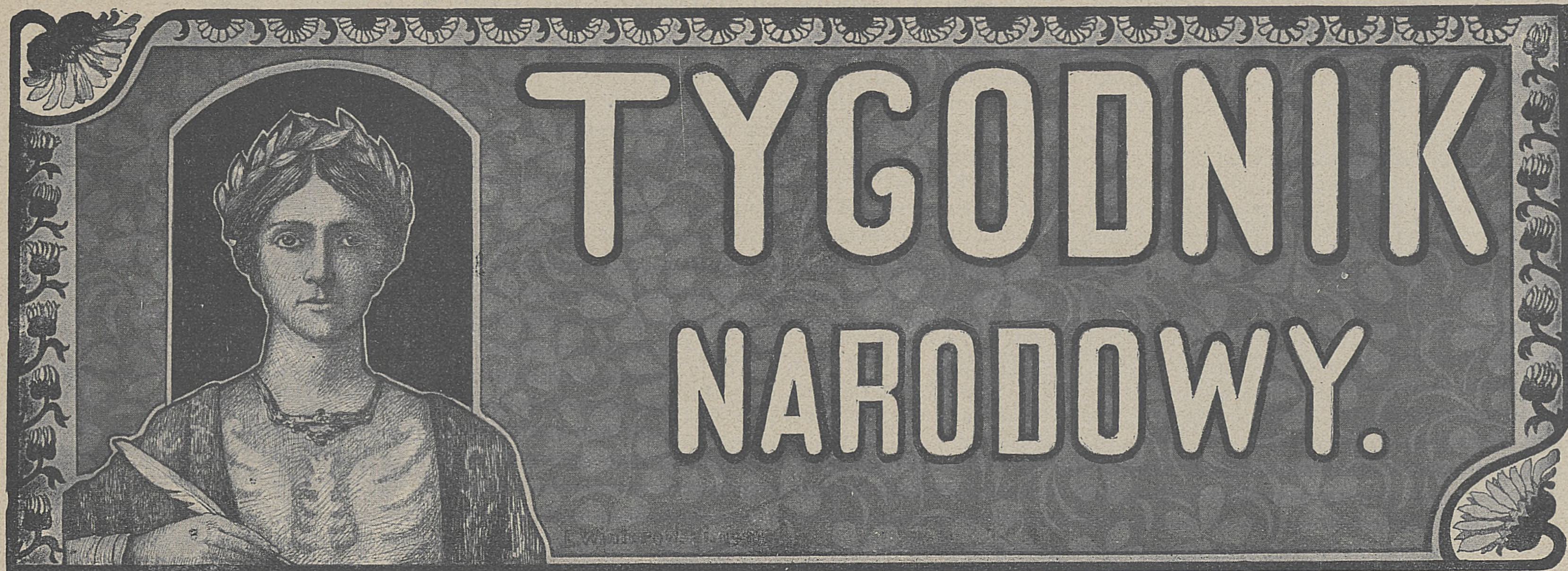
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 2. czerwca Nr 21.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 21:

O kobietach — dla kobiet.

Cokolwiekbądź mówić o t. zw. emancypacyi kobiet, faktem jest, że głównym celem wychowania pozostaje ciągle wyjście za mąż. I bardzo słusznie, nic bowiem świętszego nie może kobiety oczekiwać od obowiązków macierzyństwa. Lecz także nic nie może być opaczniejszego i krętszego od dróg, wiodących od tego celu: kobiety współczesne hodowane są tylko na to, aby łowić mężów. Tołstoj w jednej ze swych ekskslamacyi mówi: „Kobiety doskonale rozumieją, że rozprawy o ideałach, wzniosłych przedmiotach istnieją swoją drogą, ale mężczyznę pociąga tylko ciało i to, co w jaknajkorzystniejszem świetle je przedstawia". Otóż tak jest naprawdę. Kto winien: kobiety, czy, mężczyźni, ojcowie, czy dzieci, historya, czy rozwój bieżący, w to nie wchodzimy w tej chwili. Dość, że taki stan istnieje. Dowodzić tego istnienia byłoby banalnością nie do darowania.

Z przesłanki tej wypływają następujące wnioski:

a) kobiety współczesne, ćwiczone we wdzięku, harmonii, okrągłości (albo „secesyjności") kształtów, nie posiadają sił fizycznych do dźwigania ciężarów macierzyństwa;

b) nie posiadają także przymiotów duchowych, conajmniej wykształcenia duchowego, potrzebnych do prowadzenia sprawy wychowawczej;

c) nie posiadają wogóle potrzebnej mocy charakteru (tak samo, jak i mężczyźni), aby zwycięzko odpierać ataki nieżyczliwego losu.

Nie posiadają słowem zdrowia, wiedzy i charakteru w takim stopniu, w jakim one są potrzebne dla matek. Ztąd wypływa niedołężne traktowanie spraw macierzyństwa i rodziny, a wskutek tego więzy społeczne mają skłonność do rozprzęgania się.

Jest to jedna strona medalu, kto wie, czy nie lepsza jeszcze od tej, którą teraz pragnę przedstawić.

Chodzi o t. zw. emancypacyę, czyli, właściwemi wyrazami mówiąc, równouprawnienie ekonomiczne kobiet.

Sprawa ta, w gruncie rzeczy słuszna, sprawiedliwa i pożyteczna, przybrała obrót najbardziej wrogi interesom społecznym i niekorzystny dla samych kobiet. „Równouprawnienie" miało wyzwolić! kobietę z więzów zależności osobistej i zapewnić jej prawa do pracy wedle uzdolnień i upodobań, w ten sposób pomnażając zasoby intelektualne i materyalne ludzkości, a tymczasem zrodziło tylko nowy środek wywłaszczenia kobiety z przyrodzonych i świętych praw macierzyńskich. Co kobiety zyskały — to straciły dzieci, to, słowem, straciła ludzkość.



Kardynał ks. Jan z Kozielska Puzyna, książę-biskup krakowski.

Rozwój ekonomiczny wyciągnął kobietę z ogniska rodzinnego i „pozwolił" jej współubiegać się z mężczyzną o pracę i zarobki. Zdawałoby się, że rodzina tym sposobem zyskała przynajmniej większe zasoby materyalne, a więc możność lepszego wychowania dzieci, sowitszego opłacania wychowawców, zastępujących pracujące wespół z mężami po za domem matki. Tymczasem stało się inaczej (prawo ustalone w ekonomii): zarobki uregulowały się w taki sposób, że zjednoczony zarobek małżeństwa nie dorównywa stosunkowo dawnemu zarobkowi jednemu mężczyzny, a dzieci, jak się rzekło, pozbawione zostały opieki macierzyńskiej. Doszło do tego, że kobiecie odjęte nawet zostało kardynalne prawo macierzyńskie: karmienie piersią. Żona źle uposażonego urzędnika nie porzuci dla swego niemowlęcia dobrze płatnych lekcyj, bo zarobek jej przewyższa to, co kosztuje mamka, a budżet domowy nie zniósłby takiej szczerby.

Niestety, współczesne stosunki ekonomiczne coraz częściej zniewalają do takiej rozłąki, która jest niemal zbrodnią. Kobiety muszą opuszczać dom dla zarobku, pozostawiając dzieci na łasce losu, samowoli i głupoty przypadkowych opiekunów, wreszcie własnych niehamowanych niczem instynktów i popędów. W ten sposób charaktery młodzieńcze wyrastają bezładnie i fantazyjnie, miłość matek, niepodsycana i nierozwijana ciągłą troską o swe dzieci, słabnie i więdnie, dom rodzinny, pozbawiony ogniska, wyziębiony wskutek nieobecności kobiety-matki i gospodyni, odarty ze wszelkiego wdzięku, staje się niemiłym — rodzina rozkłada się.

Na szczęście oko nauki zwróciło się ku grożącemu niebezpieczeństwu. Najpierw zaczęto utyskiwać ze stanowiska zagrożonych konkurencyą taniej siły roboczej mężczyzn i przemawiać przeciwko wszelkiemu prawnemu i ekonomicznemu wyzwoleniu kobiet. Wszelako ani argumenty, zaczerpnięte z arsenału przyrodoznawstwa („dobór naturalny", „dobór płciowy", przyrodzona niższość duchowa" i t. p.), ani sentymentalne frazesy na korzyść dawnego ideału rodzinnego nie przekonały nikogo, nie przekonały zwłaszcza kobiet, które nie przestawały energicznie domagać się zadośćuczynienia ich słusznym i prawowitym dążeniom do udziału w dobrodziejstwach cywilizacyi i postępu.

Walka o powrót kobiety do praw macierzyństwa rozpoczyna się pod hasłem zgoła innych zasad. Właśnie dlatego, że jej przypadło w udziale pierwsze i najbar-

dziej decydujące kształtowanie charakterów ludzkich, musi ona mieć zasoby intelektualne i emocyalne takie, jakiemi władać powinien każdy, bez względu na płeć, światły i czynny obywatel. Lecz zamiast zaczerpniętą z nowo otwartych dla niej ksiąg wiedzę stosować wyłącznie w dentystyce, technologii, prawoznawstwie, choćby w życiu publicznem, powinna i musi przedewszystkiem zwrócić ją do wychowania. Tam, a nie gdzieindziej, ludzkość głównie liczy na jej współdziałanie, jej głowę i serce, jej gorliwość.

Czasami dzieje się to z pożytkiem dla dziecka, ponieważ matki nie zawsze umieją podołać trudnej i złożonej sprawie wychowawczej, czasami — to znaczy w tych niesłychanie rzadkich wypadkach, kiedy wychowywanie dostało się w ręce osoby światłej i dobrej; — w zasadzie atoli i w pospolitej praktyce wyrządza się w ten sposób młodemu pokoleniu niepowetowaną krzywdę. Któż więcej od matki może być czułym i kochającym? cierpliwym na drobne błędy i wykroczenia? uważnym na tlejące zarzewie złego?

Odebrać matce dziecko, pozbawić dziecko ręki matczynej — to więcej, niż sprawiać boleść. To zabijać w nich wszelkie najlepsze pierwiastki ducha.

Praktyczna walka. o której tylko wspomniałem, rozpoczęła się już we Francyi i Anglii, w sferach robotników fabrycznych. Jako postulat w programach praktycznych, jest ona upowszechniona dostatecznie w klasach oświeconych na Zachodzie. Trzeba zaś pamiętać, że w tych krajach, w których już istnieją różnorodne zbiorowe zakłady wychowawcze, dokąd wychodzące na zarobek matki mogą oddawać swe dzieci na cały dzień i gdzie opieka nad niemi powierzoną bywa osobom doświadczonym, w tych krajach, powtarzam, kwestya jest zapewne mniej paląca, niż gdzieindziej, niż dajmy na to, u nas.

Jak u nas się ona przedstawia — obiektywnie i subiektywnie — wiemy.

Pani M. nie boi się dzieci, nie boi się trudów chowania, nocy, spędzanych bez snu, łez niepokoju, skromnego bytu. Mówi: to wszystko fraszka, aby tylko moje maleństwa żyły i wzrastały zdrowo. A my możemy sobie powiedzieć: oto mamy do czynienia z kobietą wychowaną dzielnie, bo zdrową fizycznie, posiadającą tęgi charakter, nie mrużącą oczu na ciosy losowe, których tak życie nie szczędzi ludziom pracującym.

Być może, że to samo moglibyśmy powiedzieć o pani O. Lecz nad miarę i siły twarde warunki złamały jej wiarę, pomięły instynkty macierzyńskie i oto ze zgnębionej piersi wyrywa się okrzyk: nie mogę.

Ogólnie wszakże rzeczy biorąc, nie istnieją u nas — przynajmniej w sferze t. zw. inteligentnej — tak opłakane stosunki ekonomiczne, żeby rodzice zmuszeni byli z niepokojem i trwogą przyjmować wieść o przybywaniu nowego członka. Jeśli zaś tak się dzieje, to raczej skutkiem istotnie i poważnie szerzącego się niedołęstwa fizycznego i duchowego wszystkich klas społeczeństwa. Matki nie mają sił do ponoszenia trudów macierzyństwa, ojcowie nie mają energii do sprawniejszego zarobkowania.

Rozważam rzecz ze stanowiska praktycznego i przychodzę do wniosku:

1) Musimy przejąć się najgłębiej myślą i przekonaniem, że społeczeństwu nie tyle pilną jest fabrykacya najdoskonalszego szuwaksu i najtańszych perkalików, ile fabrykacya charakterów.

2) Potrzeba zatem zwrócić uwagę szczególnie pedagogów, uczonych i publicystów na warunki, potrzeby i rozwój życia rodzinnego, aby rozpoczęli odpowiednie nauki i odpowiednią propagandę.

3) Kobiety nie mają tyle walczyć o prawo zajmowania się dentystyką, malarstwem, lub buchalteryą, ile o powrót do praw macierzyństwa.

4) Potrzeba zreformować fizyczne wychowanie panien, mianowicie ze specyalnem przewidywaniem ich przyszłego powoływania w rodzinie.

Nie pytam nikogo, czy to, co powiedziałem wyżej, jest całemu światu wiadome. Być może! Ale choćbym nie miał pod tym względem żadnych wątpliwości, rozumiałbym, że nic nie może być ważniejszego od powtarzania fundamentalnych prawideł postępowania indywidualnego i społecznego.



Dr. Tchorznicki.

ALKOHOL
i choroby dróg oddechowych.

(Dokończenie).

Wszystko wyżej wypowiedziane doprowadza do wniosku, że alkohol nietylko ułatwia rozwój suchot płucnych, ale również szkodliwie oddziaływa na przebieg tej choroby. Tymczasem w historyi lecznictwa spotykamy fakt godzien najwyższej uwagi, że w ciągu ostatnich trzech dziesiątków lat alkohol stał się bardzo popularnym środkiem przy leczeniu suchot płucnych. Metoda leczenia suchotników spirytusem stała się powszechną w Niemczech, a stamtąd przeniesiona została do nas.

Dr. Sokołowski sięga historyi. Stosowanie alkoholu w leczeniu suchot płucnych znane było oddawna w klinikach Anglii, w innych zaś krajach Europy przeciwnie uważane było za szkodliwe i nie używane. Dopiero w 1870 roku dr. Herman Brehmer, twórca metody hygieniczno-dyetetycznej, wprowadził alkohol do leczenia w zakładzie swoim leczniczym w Görbersdorfie na Śląsku. Jednakże w początku alkohol był jedynie b. małym dodatkiem do kuracyi, zasadzającej się głównie na przebywaniu w górskiem powietrzu i silnem odżywianiu się tłustymi oraz mlecznymi pokarmami. Alkohol był tam zapisywany w postaci lekkiego wina, w ilości od 2 do 3 małych kieliszków na dzień; zalecano też koniak — łyżeczkę od kawy do szklanki gorącego mleka w wypadkach, gdy codziennie występywały dreszcze. Wszelako takie leczenie alkoholem, połączone z przebywaniem metodycznem i chodzeniem na powietrzu mniej ujawniało swe skutki.

Naśladowcy metody Brehmera: Dettweiler, Wolf i inni, nadali alkoholowi i przy leczeniu płuc wybitne znaczenie; odrzucając klimat górski, całą kuracyę gruntowali na mocnem odżywianiu chorych, na leżeniu na świeżem powietrzu, a w odżywianiu stosowali bardzo obszernie napoje alkoholowe t. j. ciężkie wina — portwein, maderę i inne, koniaki, porter i t. d.

Metodę powyższą zaczęli stosować tłumnie lekarze w praktyce prywatnej nietylko w chorobach płuc, ale i wewnętrznych, zalecając koniak i wszędzie koniak, prawie jako specyfik na wszelkie choroby. Nareszcie wieloletnie doświadczenie wykazało szkodliwe skutki powyższej metody: przekonano się dowodnie, że alkohol sprowadza bardzo poważne zaburzenia w organizmie, jako to; bezsenność, brak apetytu, nadmierne rozdrażnienia nerwowe i t. p. Oprócz tego zalecanie powszechne alkoholu jako środka uzdrawiającego, demoralizowało społeczeństwo, ośmielając je do nadmiernego używania alkoholu nawet nałogowo.

Otóż dr. Liebe, dyrektor zakładu w Wodzisławiu na Śląsku Górnym, zupełnie wyrugował alkohol ze swego sanatoryum i przekonał się, że leczenie bez tego środka nie ustępuje rezultatom, utrzymywanym przy użyciu alkoholu.

Jednakże zwolennicy metody leczenia alkoholem sprzeciwiali się jej wyrugowaniu, opierając się na doświadczeniach Binza i jego szkoły, uznającej alkohol za wyborny środek odżywczy. Doświadczenia, podjęte dla sprawdzenia tak sprzecznych poglądów, a przedewszystkiem prace wielu niemieckich lekarzy. w szczególności dra Neumanna, doprowadziły do pewnych rezultatów.

Dr. Neumann, po długich i ścisłych doświadczeniach *pro* i *contra* alkoholowi, doszedł do ostatecznego wniosku, który brzmi: „Alkohol jest wprawdzie środkiem odżywczym, ze względu jednakże na własności trujące, należy jego użycie, o ile można, ograniczyć“. Następnie szereg doświadczeń dra Neumana wykazuje wielką szkodliwość tego pozornie odżywczego środka. Wniosek ten godzi się z poglądem znanego fizyologa i hygienisty Förstera, że z punktu widzenia hygienicznego wartość danego środka leczniczego nie zależy tylko od jego własności pożywnych: wchodzą też w grę inne ważne czynniki, jako to cena, oraz własności trujące? alkohol zaś jak wszędzie, tak i u nas jest środkiem zazwyczaj drogim w porównaniu z innymi środkami odżywczymi.

Następnie dr. Sokołowski zaznacza, że to, co powiedział o szkodliwości leczenia alkoholem w suchotach płucnych, da się też zastosować do innych cierpień przewlekłych dróg oddechowych, katarów oskrzeli zwykłych lub powikłanych rozedmą płuc i t. p.

Z tych względów dr. Sokołowski podjął liczne obserwacye i doświadczenia i doszedł do przekonania, że nawet przy krupowem zapaleniu płuc, gdzie terapia alkoholiczna powszechnie jest stosowana, należy usunąć z praktyki alkohol i zastąpić go skutecznie kofeiną, kamforą i t. p. Tak też i czyni.

W dalszym ciągu dr. S. twierdzi, że szkodliwość terapii alkoholicznej da się zastosować do innych chorób wewnętrznych nietylko przy leczeniu chorób dróg oddechowych, ale szczególniej do cierpień kanału pokarmowego i układu nerwowego, w których alkohol szeroko bywa stosowany.

Autor zachęca swoich kolegów do usuwania alkoholu z praktyki, co najskuteczniej wpłynie na podniesienie wśród ogółu idei wstrzemięźliwości od napojów wyskokowych.

Lekarze niemieccy i angielscy dawno już wypowiedzieli walkę alkoholowi przez zorganizowanie towarzystw, wywierających zbawienny wpływ na umoralnienie ludności. U nas również towarzystwo z lekarzy

złożone, za ich przykładem, powinnoby utworzyć sekcyę wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych, w celu skutecznego oddziaływania na różne warstwy społeczeństwa, z któremi lekarze najbliższą mają styczność.

Myśli powyżej skreślone popierają nader przekonywująco ideę wstrzemięźliwości, która w ostatnich latach stała się tak popularną, że wywołała akcyę czynną ze strony rządu, a doprowadzić winna do ograniczenia użycia alkoholu wszędzie tam, gdzie bez niego obejść się można.

Ferdynad Saar.

DOKTOR TROJAN.

(Przeł. z niem. Józefa P.)

I.

Po raz pierwszy przybyłem do włości R... Przygotowano dla mnie prześliczne mieszkanie w zamku, jako pracownię jasną izbę na wieży z dalekim widnokręgiem; obok, niżej, wygodną sypialnię, której okno, winem oplecione, ocieniał potężny wierzchołek drzewa w parku. Otóż miałem, za czem tęskniłem; przyjemne, wiejskie zacisze, pełne nastroju, zupełną swobodę i spokój. Mogłem więc i chciałem zabrać się natychmiast do pracy, co też było życzeniem moich hrabiowskich gospodarzy. Zacząłem więc przedewszystkiem oglądać narzędzia. Lecz jakkolwiek pod każdym innym względem byłem znakomicie zaopatrzonym, to właśnie tutaj zostawało nieco do życzenia. Znalazłem bowiem fioletowy atrament, do którego mam wyraźny wstręt; pióra stalowe okazały się za szpiczaste, a i papier nie był ze zwykłego gatunku — i jak mi się zdawało w niedostatecznej ilości. Lecz temu łatwo było zaradzić. Musiał przecie w miejscu istnieć jakiś kupiec, lub kramarz, który podobne rzeczy miał na sprzedaż. Z pośpiechem, właściwie zupełnie nieuzasadnionym,wybrałem się natychmiast w drogę. I w samej rzeczy: zaledwie stanąłem na pustej targowicy, okolonej budynkami, wyglądającymi raczej jak chaty, z kałużą dla gęsi na samym środku, a ujrzałem już nędzny sklepik ze znakami Merkurego i poczerniałym szyldem nad drzwiami: N. Nezbada, sklep z towarami różnemi.

Gdy wszedłem, stał właściciel, szeroko, ze wzniesionemi ramionami, pochylony nad ladą i rozmawiał z mężczyzną, nadzwyczajnie chudym, który, oparłszy się opodal o worek grochu, palił porcelanową fajkę Pan Nezbada przerwał natychmiast rozmowę i zapytał bardzo uniżenie, czem służyć może. Gdy więc zażądane rzeczy wyjmował z zapylonej, odległej półki, jąłem się bliżej przypatrywać mężczyźnie przy worku z grochem.

Choć nie miał ni hełmu, ni zbroi, lecz tylko zniszczony kapelusz słomiany i nader wyszarzane ubranie letnie, przypominał swoją prawie szkieletową chudością, swoją brunatno-żółtą, wyschłą twarzą i wąsem w górę podkręconym, zwykłe wizerunki kawalera z Manchy. Brakowało tylko nosa krogulczego. Gdyż jego nos był w dziwny sposób ugięty i stając się czem raz szerszy, przechodził w poziomy koniec, wyglądający, jak dziób kaczy. Kupiec przedłożył mi papier i pióra do wyboru.

„Czy pan ze zamku?“ — zaczął się dopytywać morawską niemczyzną. „Widziałem pana, jeśli się nie mylę, wjeżdżającego dzisiaj rano.“ A gdym głową skinął potwierdzająco, zapytał, czy zamyślam dłużej się tutaj zatrzymać, coby mu w każdym razie było nader przyjemnem.

„No, zdaje mi się, że przez lato...“

„Tego pan żałować nie będzie,“ wtrącił mężczyzna przy worku, ostrym, dziwnie fistułowym dyszkantem, wyjmując fajkę z ust i wznosząc ją, jakby na znak zapewnienia. „Tego pan żałować nie będziesz! Nasza okolica jest jedyną w swoim rodzaju. Połączenie wdzięku z dziką romantycznością. A przytem powietrze orzeźwiające, hartujące nerwy, jakby w Szwajcaryi.“

W tej, z zapałem wygłoszonej mowie pochwalnej, tem dziwniej brzmiącej, gdyż przybrał przytem płaczliwą minę, przerwała mu mała, bosa dziewczyna, która przez drzwi zaglądała, zbliżywszy się doń z zakłopotanym pośpiechem. Nachylił się do dziecka, które mu kilka słów po słowiańsku rzekło, poczem skinął głową przyzwalająco, zdjął przedemną grzecznie kapelusz i opuścił sklep wraz z małą dziewczynką.



NA WAKACYACH.

„Ktoż to był?“, zapytałem pana Nezbadę, który tymczasem już skądeś wydostał flaszeczkę „Alizaryny“ i zabierał się do pakowania moich sprawunków.

Zatrzymał się w swojej robocie, oparł duże ręce o ladę i przechylając się naprzód, rzekł uroczyście: „To był doktor Trojan.“

„Doktor?“ odrzekłem z pewną wątpliwością, gdyż nie wyglądał wcale po temu — prędzej na aktuaryusza, lub pisarza. „Chyba nie lekarz?“ „Owszem, owszem“, zapewniał kupiec jeszcze uroczyściej. „Lekarz — i jaki jeszcze!“ Chociaż — tu zniżył głos do tajemniczego szeptu — nie jest rzeczywistym doktorem. Ale rozumie on więcej, niż niejeden profesor. Pan Wanka, naczelny lekarz, wiele na niego daje.“

„Pan Wanka?“

Pan Nezbada, który się znowu do swojej roboty zabrał, popatrzył na mnie zdziwiony. „Nie zna go pan?“ Tego sławnego przyrodnika? Nie miałem w rzeczy samej najmniejszego pojęcia o tej znakomitości. Lecz dałem pokój temu, zapłaciłem rachunek i zabrałem pakiecik, zgrabnie zwinięty.

„Czy posłać może do zamku?“, zapytał pan Nezbada usłużnie.

„Dziękuję, przecie to niedaleko.“ Pożegnałem się, a on odprowadził mię ukłonami swemi do drzwi.

* *

Gdyśmy w południe z hrabiostwem przy obiedzie siedzieli, zaczęła się wkrótce rozmowa o doktorze Wance. I poznałem, że miałem powód zawstydzić się nieco. Gdyż lekarz ten, jak się teraz dowiedziałem, położył wielkie zasługi około zbadania pieczar, które już przed dwoma stuleciami zostały w okolicy odkryte, na które jednak nikt dotychczas uwagi nie zwrócił. Przy pomocy kilku górników, często z narażeniem życia poznał obszary tych olbrzymich przestrzeni dyluwialnych we wszystkich ich rozgałęzieniach, odkrył przytem nader ciekawe pozostałości, dowodzące, że pieczary te służyły nietylko przedpotopowym zwierzętom lecz i przedpotopowym ludziom za schronienie. Rozprawy, jakie o najważniejszych odkryciach swoich ogłosił, musiały imię jego w kołach uczonych już dawno uczynić znanem; on sam zatrudniał się od wielu lat uporządkowaniem całego materyału w jasny zbiór, który zamierzał wystawić na widok publiczny przedewszystkiem w stolicy, a później i we Wiedniu. Mnie jednak radzono usilnie oglądnąć go bezzwłocznie na miejscu, co dla mnie byłoby tem wygodniej, że doktor Wanka mieszkał w pobocznym budynku zamku. Ponieważ miałem i tak zamiar złożyć kilku osobistościom wizyty, więc już następnego dnia udałem się tam, gdzie mię przyjął stary, wątły gospodarz, którego oczy, jakby przygasłe, w toku rozmowy żywiej zabłysły. Zaprowadził mię bardzo uprzejmie do obszernej sali, gdzie się znajdował jego zbiór, ja zaś byłem zdziwiony jego bogactwem i rozmaitością. Począwszy od prostego wapienia i łyszczaku aż do najdziwaczniejszego utworu naciekowego, miało się przed oczyma geologiczny rozwój nieskończonych przestrzeni czasu — a począwszy od najmniejszej, mikroskopijnej skamieniałości aż do starannie zrekonstruowanych szkieletów niedźwiedzi jaskiniowych, były wszystkie rodzaje zwierząt zastąpione, które w tych ciemnych kryjówkach żyły; nie brakowała nawet bezowocna, karłowata fauna naszych czasów, w spirytusie przechowywana. Najciekawsze okazały się jednak ludzkie fosylia, zajmujące resztki czaszek i kości, jakoteż pozostałości przedhistorycznej kultury: broń, naczynia i przedmioty do ozdoby, mimo największej prostoty, zgrabnością i szlachectwem form zdumiewające.

Kiedy doktorowi zdziwienie swoje wyraziłem, odpowiedział:

„Tak, było to zadanie mego życia, a obecnie jest już spełnione. Rozpocząłem je, będąc młodym człowiekiem, kiedy — jeszcze za życia dziadka naszego hrabiego — zostałem tutaj lekarzem fabryk i hut. Z początku szło to bardzo powoli, gdyż miałem mało czasu wolnego; tylko w długich przestankach mogłem wjazdy do pieczar odbywać. Z czasem jednak zaczęli mię hrabiostwo w moich badaniach wspierać — wreszcie otrzymałem synekurę lekarza naczelnego, którą się dotychczas cieszę. Mogłem się więc tej rzeczy prawie wyłącznie oddać, naturalnie na koszt mego dawniejszego zawodu, który już oddawna tylko w pewnych naglących wypadkach wykonuję. Moim następcą we właściwej służbie jest doktor Hulesz, doskonały lekarz, szczególnie jako chirurg, a z ludnością w miejscu nie mam nic do czynienia."

„Ta więc ma własnego lekarza?" zapytałem.

„Tak i to nie najgorszego. Spotykano na wsi, szczególnie przedtem, zawsze dość zdolnych lekarzy. Rozumie się, empiryków, jakto wogóle z teoryą nie tak świetnie wówczas było, jak dzisiaj. Takim praktykiem był tu stary Trojan, z którym pozostawałem, jak długo żył w przyjacielskich stosunkach. Posiadał wprawdzie, tylko tak zwany dyplom magistra, lecz był znakomitym terapeutykiem, a jego dyagnozy, które naówczas można było genialnemi nazwać, okazywały się zawsze nieomylnemi. Jak często radziłem się go sam w rozpaczliwych wypadkach! Te zalety przeszły częściowo na syna, choć tenże nie ziścił nadziei, jakie ojciec w nim pokładał."

„Poznałem go wczoraj przypadkiem."

„Tak? A gdzież to?"

„U kupca Nezbady."

„A tak, odpoczywa on tam chętnie po swoich lekarskich wizytach, które go często o mile całe stąd oddalają. W tym też sklepie szukają go zwykle, bo w domu nie może nikogo przyjmować. Dziwak, który się w młodości zmarnował, nie uzyskawszy nawet dyplomu ojca. Szkoda go. Jestem przekonany, że przy należytem wykształceniu stałby się wybitną lekarską powagą, podczas kiedy tak zachodzi obawa, że pomimo wyraźnego uzdolnienia i pomyślnych skutków leczenia, zasługujących na uznanie, prędzej, lub później będzie, jako fuszer traktowany.

W tej chwili przerwało nam wejście pani domu rozmowę. Żona doktora, okazała i mimo wieku swego jeszcze zawsze piękna kobieta; córka całkiem do ojca podobna: niepokaźna, lecz ze sprytnem wejrzeniem i zajmującą twarzą. Rozmowa zwróciła się teraz do ogólniejszych tematów; niedługo trwało, a nadszedł i doktor Hulesz, starszy, krępy mężczyzna, przypominający powierzchownością swoją Karola Vogta. Jak się pokazało, przyszedł zdać swemu szefowi lekarskie sprawozdanie z tygodnia; skorzystałem więc ze sposobności, aby się pożegnać.

Kiedy wyszedłem później z listami, które sam chciałem nadać, widziałem lekarza gminy, jak paląc swą porcelanową fajkę, z grubą laską w ręce, śpiesznie przez plac kroczył. Zwracając przypadkiem głowę, poznał mię również i zdjął, zdaleka się kłaniając, zmięty kapelusz.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Antoni Pilecki.

Z pieśni wiosennych.

Precz, sroga, drapieżna i żrąca boleści!
Niech usta twe, hydro, krwi serca nie ssą!
Już wiosna — kochanka namiętnie świat pieści,
Już słońce za szarą podnosi się mgłą.

Milcz, cierpień przekleństwo! — ustami czystemi
Niech chwytam oddechy, wiejące śród pól!
Niech piersią stęsknioną przypadnę do ziemi
I oddam jej wszystek serdeczny mój ból!

A ona — ta piękna — w słonecznym djademie —
W swem oku stłumiony, dziewiczy ma żar...
Gdzie stąpi, kwiat wonny upada na ziemię
I życie rozlewa z rozkoszy swych czar...

O weź mię w ramiona, kochanko ty biała!
Tak dawno słodyczy nie piłem z twych warg!
Ma dusza w pleśń wrosła, wyziębła, zmalała,
Ku mętom tej ziemi pochylił się kark...

Dziś pragnę oddechu świeżego i woni!
Więc lasów powiewy, pól kwiecie mi daj!
Niech pieśń ma, jak ptaszę, za wichrem pogoni
I wzleci w wyżyny, w wiosennych burz kraj!



Stanisław Żdziarski.

Życiorysy sławnych Polaków.

(Dokończenie).

Dwie monografie prof. Chmielowskiego, o Hofmanowej i o Czackim są przedrukami: pierwsza z dzieła p. t. „Autorki polskie wieku XIX". (Warszawa 1885, str. 43—193), druga z „Encyklopedyi wychowawczej". Ale w pracy o Hofmanowej poczynił autor pewne zmiany. Opuścił mianowicie rozdział pierwszy, w którym skreślił szkicowo dzieje pedagogii polskiej w latach przed wystąpieniem Hofmanowej, a dał na jego miejsce życiorys, stanowiący niejako tło, na którem zarysowują się pedagogiczne poglądy Hofmanowej. Nadto opuścił autor ustęp, w którym była mowa o czasopismach dla dzieci, które powstały po wydawaniu „Rozrywek dla dzieci". Lepszych prac o Hofmanowej i Czackim nie mamy dotychczas w naszej literaturze naukowej.

I praca prof. Chmielowskiego o Korzeniowskim jest przedrukiem pracy, umieszczonej naprzód w „Tygodniku illustrowanym", a następnie w seryi drugiej dzieła „Nasi powieściopisarze". Zmian tu poczynił autor niewiele, bo opuścił tylko wstęp, a dodał kilka tylko drobnych poprawek i uzupełnień. Szkoda, że uzupełnienia nie zostały poczynione wszędzie, bo materyyłu nowego, rzucającego nowe światło na Korzeniowskiego, ukazało się wiele w ostatnich czasach, choćbyśmy tylko wymienili pracę Czarnika („Korzeniowski i teatr lwowski 1822—1844, Lwów, 1896), albo M. Gawalewicza „Korzeniowski o sobie" (Biblioteka Warszawska 1897, I.). Autor zmienił wprawdzie na ich podstawie niektóre błędne daty, poprawek tych jednak nie zrobił wszędzie, co starannie wykazał dr. Czarnik w recenzyi tej pracy (Por. „Kwartalnik historyczny" 1898, str. 358).

Rozprawa prof. Chmielowskiego o Kaczkowskim, będąca również przedrukiem z „Naszych powieściopisarzy", zawiera piękną charakterystykę tego męża, jako powieściopisarza i człowieka i nader sumienny rozbiór jego działalności.

Z kolei przystępujemy do dwu prac, o których, niestety, nie można wypowiedzieć tych pochwał, jakie przyznawaliśmy omówionym już wyżej życiorysom. Mamy tu na myśli rozprawkę nader zasłużonego pedagoga, p. Wernica o Konarskim i pracę p. M. Mazanowskiego o Zaleskim. Jednym z głównych zarzutów, jakie pracy p. Wernica uczynić musimy jest ten, iż autor pisząc swoją pracę, nie oparł się na wynikach badań ostatnich nad Konarskim i stąd popełnił wiele błędów faktycznych. Nie znał np. p. Wernic pracy K. Wojciechowskiego p. t. „Młodość Konarskiego, Lwów, 1895", to też rozdział pierwszy jego rozprawy aż roi się od błędnych twierdzeń. Ciekawego czytelnika odsyłam do mojej recenzyi, zamieszczonej w lwowskim miesięczniku „Muzeum" 1899 str. 719—720, gdzie szczegółowo wykazałem drobną tylko część ogólnej liczby tych błędów. Drugim zarzutem, jaki tej pracy uczynić z żalem musimy, jest ten, iż p. Wernic nigdzie nie umotywował źródeł swojej pracy, nawet tam, gdzie z „Konarścianow" ks. St. Biegańskiego przedrukowywał wydane tam dokumenty, np. ustępy z rękopisu biblioteki Jagiellońskiej; przecież, jeśli się w jakiej pracy, nawet popularnej, ogłasza jaki dokument czy wiersz nieznany, należy wyraźnie zaznaczyć, czy się go wzięło wprost z danego rękopisu, czy z pracy, w której on został ogłoszony. W rozprawie pana Wernica natomiast zacytowany jest tylko numer rękopisu, o pracy jednakowoż księdza Biegańskiego, z której ustęp został przedrukowany, niema ani słowa. Jeszcze niekrytyczniejszą jest praca p. M. Mazanowskiego o Zaleskim. Ażeby wyliczyć wszystkie błędy w tym życiorysie, potrzebaby wiele miejsca, wykazaliśmy je zresztą na innem miejscu szczegółowo. (Porów. „Kwartalnik historyczny", 1900 zeszyt I). Skorośmy jednak tak nieprzychylne dali świadectwo o tej pracy, musimy i tutaj choćby kilka podać przykładów, ażeby twierdzenie nasze o bezkrytyczności życiorysu Zaleskiego nie było gołosłownem. A więc: elementarną naukę zawdzięczał Zaleski nie wyłącznie ciotce Jasieńskiej (str 9), lecz także szkole w Kaniowie, gdzie wprawdzie czas bardzo krótki przebywał, ale zato nauczył się niemal sam czytać; rozprawę „O Klasyczności i Romantyczności" Brodzińskiego (str 11), jak wiadomo z pamiętnika Goszczyńskiego („Ateneum" 1895 I w rozprawie p. Wasilewskiego), znał Zaleski już w Humaniu dobrze; Zaleski nie ukończył wcale szkół humańskich, jak o tem mówi p. Mazanowski na str. 14, lecz opuścił je, będąc w klasie szóstej, razem z Goszczyńskim z powodu zatargu z księdzem prefektem Skibowskim, nie doprowadziwszy nawet 1-go kursu do końca; co się tyczy pobytu Zaleskiego u Górskiego to myli się p. Mazanowski, mówiąc (str. 14), iż był tam poeta przez dwa lata (1823—1824), bo Zaleski przebywał w domu Górskiego jedynie w zimie r. 1822 i przez styczeń i luty 1823, a w marcu już przeniósł się do jenerała Szembeka i przyjął miejsce nauczyciela syna jego; autor mówiąc o wierszach p. t. „Lubor", „Arab u mogiły konia" i „Ludmiła", uważa je za oryginalne, tymczasem dr. Kolessa wykazał dawno, iż utwory te są parafrazami

poezyi W. Żukowskiego; utwory: „Lach serdeczny na marach“, „Wyprawa chocimska“, „Z mogiły Sawor“, „Luli niemowlęciu Iwoni“, „Teligoła“, „Hej, hej, ojcze atamanie“ — powstały nie w latach 1821—1830, jak twierdzi p. Mazanowski, lecz w roku 1840 we Francyi, podczas pobytu poety w Plombieres. Takich błędów jest moc w pracy pana Mazanowskiego.

Dwie rozprawy p. Leona Świeżawskiego o Janie i Jędrzeju Śniadeckich są, jak na popularne opracowania, dobre. Widać z nich niemałe zdolności autora do takiego traktowania przedmiotu; charakterystyka jednego i drugiego męża występuje wyraziście na obszernie rzuconem tle epoki, w której żyli i działali na polu naukowem obaj Śniadeccy.

Życiorys Kopernika, napisany przez p. Merczynga, jest nader zajmujący. Praca cała została podzielona na cztery części, z których trzy pierwsze zajmują szczegóły natury biograficznej, ostatni zaś traktuje o naukowej doniosłości odkrycia Kopernika i zaznajamia czytelnika z treścią sławnego dzieła „De Revolutionibus“. Autor korzystał z wielu źródeł, a szczególniejszą zwrócił uwagę na prace niemieckie, któremi dotąd mało kto uznał nas za stosowne się posługiwać. Stąd poszło, że wizerunek wielkiego astronoma występuje o wiele wyraźniej, niż w dotychczasowych pracach.

Również interesująco została skreślona praca o Chopinie przez p. Hoesicka. Autor — jak wiadomo — pracuje obecnie nad obszerną monografią o Chopinie. Zanim jednak praca ta będzie mogła ukazać się w druku, konieczną było skreślenie małej objętości monografii, któraby zaznajomiła szerokie warstwy czytającej publiczności z życiem genialnego artysty. To też niemałą usługę oddał pan Hoesick, wydając krótki a zwięzły szkic biograficzny, zawierający najważniejsze wypadki życia artysty i jego dziwne koleje. Dodać warto, iż w pracy tej nie napotykamy tylu przypuszczeń i domysłań się, ile ich było w dawniejszych rozprawach tego autora o Słowackim.

Ostatni wreszcie życiorys — kanclerza i wielkiego hetmana koronnego Jana Zamoyskiego — wyszedł z pod pióra pana Nowodworskiego i odznacza się trafnem ujęciem rysów epokowej postaci, która dotąd jednego tylko miała biografa w Reinholdzie Heidensteinie, historyku czasów Stefana Batorego Słusznie zwrócił autor w przedmowie uwagę na konieczność opracowania szczegółowego i naukowego życiorysu jednego z największych mężów stanu w Polsce; jakoż niebawem sam do tej pracy przystąpił.

Jesteśmy u kresu naszego przeglądu Słówko jednak o stronie typograficznej wydawnictwa. Wytknąć musimy brak należytej korekty, zdarzają się bowiem tomiki, oszpecone licznymi błędami drukarskimi (Gosławski, Kochanowski). Zwracamy tedy uwagę wydawcy, ażeby postarał się o dokładniejszą korektę, bo zresztą zewnętrzna strona wydawnictwa jest bez zarzutu, portrety nawet są w znacznej części udatne. Wogóle wydawnictwo temu, odznaczającemu się tylu zaletami, ślemy z naszej strony: „Szczęść Boże!“

Pogadanka naukowa.

(Życie i obyczaje chrabąszczów. — Badania p. Raspail. — Szkodliwość tego owadu — Trzyletni turnus chrabąszczowy. — Lata i strefy chrabąszczy. — Potrzeba energicznego tępienia tego szkodnika — Planeta Eros jako gwiazda podwójna. — Zdjęcia fotograficzne zapomocą fosforescencyj).

Oto nadszedł maj, a razem z nim nadciąga pora chrabąszczów. Zacznijmy więc od nich pogadankę; będzie to temat aktualny, a nie bez interesu dla rolników.

Dziwne to zaiste, że po tylu wiekach badania, życie i obyczaje tego tak pospolitego owadu pozostały nieomal nieznane do tej pory Nie domyślano się w nim tak wielkiego szkodnika, jakim jest istotnie. Chrabąszcze jawią się u nas z wiosną, więc też jako zwiastuny wiosny nie budziły nieufności, zwłaszcza, gdy ich nie było zbyt wiele. Wiedziano wprawdzie, iż



W DRODZE DO SZKOŁY.

żywią się kosztem roślin, a głównie drzew, których objadają liście; ale nauka zapewniała nas do tej pory, że ich życie tak krótko trwa (wszystkiego dziesięć do dwunastu dni!), że samiec ginie po zapłodnieniu samicy, ta zaś po złożeniu jajek; nie było więc czem się tak bardzo kłopotać!

Tymczasem rzecz ma się całkiem inaczej! Z postępem kultury i tępienia kretów, poczęły się chrabąszcze pojawiać w Szwajcaryi i we Francyi i w coraz większych ilościach, stając się plagą dla najściem ich dotkniętych okolic. To skłoniło uczonych do pilniejszego zajęcia się badaniem sprawy tego owadu, i oto są biologiczne dane, ustalone przez francuskiego entomologa p. Henryka Raspail, który chrabąszcze chował przez lat trzy pod ciągłym nadzorem, karmiąc je i obserwując w czasie tego chowu.

Napowietrzne życie zupełnie wykształconego już owadu trwa od 40 do 50 dni, w którym to czasie parowanie odbywa się około dziewięciu razy, samica zaś składa trzy razy jaja w łącznej ilości do ośmdziesięciu sztuk. W tym celu zagrzebuje się ona w ziemię na głębokość mniej więcej dwudziestu centymetrów czyli dziewięciu polskich cali. Z jaj tych, które nie bywają nigdy klejem przytwierdzane do ziemi, jak sądzono, wyłażą po dwudziestu pięciu dniach liszki, w postaci nader żarłocznych białych robaków i rozpoczynają natychmiast swe spustoszenia. Jako liszka żyje chrabąszcz pod ziemią dwa lata i dwa miesiące, poczem zamienia się w poczwarkę. Wszelako jest to tylko stan przejściowy, który trwa krótko, nie dłużej jak miesiąc; po jego upływie zrzuca owad, zupełnie już wykształcony, ze siebie powłokę poczwarki, zajmuje norę, którą poprzednio, będąc liszką, sporządził i czeka tam ośm miesięcy, by wylazłszy z ziemi w porze, jakiej zwykle zjawiają się chrabąszcze, rozpocząć swe reprodukcyjne funkcyę.

Tak tedy trwa, zliczywszy razem wszystkie te metamorfozy, biologiczna ewolucya chrabąszcza trzy lata i wytwarza stały turnus, którego *maxima* przypadają co trzy lata Jeżeli więc, dajmy na to, było gdzie w r. 1898 bardzo dużo chrabąszczy, to z pewnem prawdopodobieństwem możemy się spodziewać, iż w r. 1901 powrócą one w znacznie większej gromadzie. Wszelako *maxima* chrabąszczowe nie są wszędzie równoczesne i układają się wedle „chrabąszczowych stref“, które się właśnie od siebie różnią rokiem, w jakim *maximum* one w ich obrębie przypada. W Szwajcaryi skonstatował badacz tamtejszy, Forel, trzy takie strefy: strefę Uri, wykazującą *maxima* chrabąszczowe w r. 1892, 1895, 1898 i 1901, a rozpościerają się w dolinach Reuss i górnego Renu; strefę bazylejską z latami: 1893, 1896, 1899, 1902, obejmującą kantony Bazyleją i Walis, a wreszcie strefę berneńską z cyklem 1894, 1897, 1900 i 1903, ogarniającą resztę kraju. We Francyi przyjęto tę klasyfikacyę jako typową i zaliczono poszczególne departamenty wedle stwierdzonych statystycznie chrabąszczowych *maximów* bądź to do jednej, bądź to do drugiej z trzech tutaj wymienionych stref.

Atoli klasyfikacye te, strefy, *maxima* — wszystko to teoretycznem jeno jest i czasowem; oczywista bowiem rzecz, iż *maxima* chrabąszczowe i strefy powstały skutkiem jakichś lokalnych, rozwojowi chrabąszczy sprzyjających warunków i że działanie tychże warunków może tu znaczne wprowadzić przeobrażenia. I tak może w danej miejscowości, ba nawet i strefie spodziewane *maximum* chrabąszczowe wcale nie powrócić, jeżeli w pierwszym lub drugim roku chrabąszczowego turnusu liszki przez silne mrozy, owadożercze zwierzęta, lub choroby, mocno zostaną przetrzebione. Fakt ten będzie się oczywiście musiał po trzech latach powtórzyć, skutkiem czego charakter strefy zostanie zatarty. Natomiast może przy sprzyjających warunkach, a nadzwyczajnej płodności chrabąszczów wytworzyć się nowe *maximum* i strefę, dajmy na to, Uri w strefę berneńską zamienić; nie zapominajmy bowiem, iż potomstwo jednej tylko samicy liczy już w trzeciem pokoleniu 64.000 samic, a w następnem 5,120.000 liszek. *Item* może się obok istniejącego turnusu wytworzyć drugi, ba nawet i trzeci, tak, iż wszystkie trzy strefy złączą ze sobą swe cykle, przynosząc corocznie

klęskę chrabąszczy. I oto właśnie czego się dla Francyi obawia p. Raspail, zapytując ze smutkiem: Co się wówczas stanie z roślinnością, gdy to nastąpi?

U nas oczywiście byłaby taka obawa przedwczesną. Zbytniemu rozmnażaniu się szkodliwych owadów zapobiegła przyroda, stwarzając owadożercze zwierzęta, a tępienia tych ostatnich nie posunęliśmy jeszcze tak daleko, by ubytek ich zaważył w ogólnym przyrody budżecie. Nadto broni nas klimat nasz przed chrabąszczową plagą i musi znaczna część liszek ginąć podczas mrozów, skoro chrabąszcze nie dają u nas do skarg tyle, co gdzieindziej, powodu. Niemniej należy ich tępić wytrwale, zarówno wtedy, gdy bujają w powietrzu, jak i wtedy, gdy się liszki ich przy robotach ziemnych napotka, nie zapominając, że każdy z nich osobnik żyje kosztem roślin trzy lata i należy przeto do największych wrogów człowieka.

* * *

O malutkim planecie Eros więcej dziś mówią w świecie, niż o wszystkich planetach naszego słonecznego systemu,— i nie dziw: Eros znaczy miłość — trudno więc, żeby o niej nie mówiono! Wiadomo, że planeta ten, cztery lata temu odkryty, należy do rzeszy asteroidów, wirujących pomiędzy Marsem a Jowiszem, oraz, że od roku zeszłego 57 obserwatorów śledzi nieustannie jego bieg, w celu uzyskania sprawdzenia odległości naszej od Słońca. Obecnie pokazuje się, że planeta ten nie jest sam, że to są dwie gwiazdy, tworzące system i wirujące wzajemnie około siebie, — słowem, że Eros jest żonaty!

Już w końcu roku ubiegłego ogłosił dr. von Oppolzer, że wedle jego spostrzeżeń światło Erosa zmienia prawdopodobnie swą napiętość; obecnie potwierdzają to przypuszczenie pp. André z obserwatoryum w Lugdunie i Rossard z obserwatoryum w Tuluzie. Ostatni z nich obserwował stale Erosa w dniach 14, 15 i 16 lutego i zauważył, iż zmiany w napiętości światła są dość znaczne, bo podczas, gdy planeta w czasie *maximum* swej jasności był gwiazdą dziewiątej wielkości, świecił on w czasie *minimum* swego blasku już tylko jako gwiazda jedenastej wielkości. Porównanie *maximów* i *minimów* jasności wykazało trochę więcej niż dziesięć peryodów w ciągu jednego dnia i długość każdego peryodu równą dwom godzinom i około dwudziestu dwom minutom.

Ponieważ Eros własnym blaskiem nie świeci, przeto nie sposób zmian jego jasności wytłómaczyć inaczej, jak tylko tem, że to powierzchnia, która nam światło słoneczne odbija, będąc raz większą, to znowu mniejszą, skutek ten wywołuje. Że zaś niepodobna przypuścić, by jakieś ciało niebieskie było tak nieforemne, by posiadało powierzchnię tak nierównej wielkości, przeto niema wątpliwości, że to są dwie gwiazdy, wirujące wzajemnie około siebie, w sąsiedztwie tak bliskiem, że ich z tego oddalenia (dwie trzecie od Słońca odległości) rozróżnić nie możemy.

Będzie to jedyny w naszym planetarnym systemie typ gwiazdy podwójnej. Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uranus i Neptun mają wprawdzie towarzyszów w swych księżycach, które około nich toczą swoje kręgi, podczas gdy one same, jak gdyby im nie współczując zgoła, płyną z dumną obojętnością w dal, nie schodząc ze swej orbity. Tu jednakże mamy dwie gwiazdy, skojarzone w ten sposób, iż ciążąc wzajemnie ku sobie, wirują przez wszystkie wieki jedna około drugiej, tworząc niejako świat cały dla siebie! — prawdziwy obraz szczęśliwego małżeńskiego stadła, ożywionego zawsze jedną i tą samą myślą, żyjącego jednem i tem samem uczuciem!

Rzecz istotnie ciekawa, że się takie stadło gwiazd skojarzyć mogło w tej właśnie strefie, gdzie przeważny wpływ olbrzymiego Jowisza nie dopuścił ukształtowania się większego planety. Musiała tu przecież siła przyciągająca tego mocarza czynić wstręty temu związkowi, odrywać cząstki materyi kosmicznej, ciążące ku sobie. Lecz czegoż nie przezwycięży miłość, a planeta nasz ma Eros na imię. Nie, naprawdę, myśl ta rozmarza. P. Antoni Lange, który tak lubi naukowe tematy, powinienby romans Erosa wziąć za przedmiot artystycznego obrobienia. Szkoda tylko, że te piękne rzeczy, tak do żeniaczki zachęcające, dziać się muszą nie na ziemi, lecz na niebie...

* * *

Jak sobie poradzić, gdy się pragnie zdjąć kopię fotograficzną stronnicy jakiegoś dzieła, mapy, portretu lub ryciny, w książce jakiejś zawartej, a użycie zwykłego sposobu fotografowania przy pomocy kamery, światła słonecznego lub magazynowego itd. nie może być z tego lub owego powodu zastosowane? Uczony angielski I. Smith podaje na to środek bardzo prosty. Bierze się kawałek kartonu odpowiednich rozmiarów i nasyca się go jakąkolwiek substancyą fosforyzującą, a gdy wyschnie, wystawia się go dla spotęgowania fosforyzacyi na słońce. Karton tak przygotowany kładzie się pod kartę, z której zdjęcie ma być dokonane; na wierzch jej zaś kładzie się zwykłą czułą płytę, bacząc na to, by karton i płyta szczelnie do papieru przylegały. Potem zamyka się książkę i pozostawia tak od dwudziestu do sześćdziesięciu minut, stosownie do grubości papieru. Po upływie tego czasu wyjmuje się płytę i wywołuje negatywę zwykłym sposobem w ciemnym gabinecie.

Ponieważ płyta i karton są zupełnie suche, przeto nie psują one wcale książki w czasie operacyi i można bez obawy robić zdjęcia z najkosztowniejszych dzieł. Używając żelatynowych błonek, można — dzięki ich przeźroczystości — otrzymać kilka kopij odrazu. Jeżeli się chce skrócić czas zdjęcia, należy pod karton podłożyć metalową płytę, rozgrzaną za pomocą wody gorącej do 20° R., której to temperatury nie powinno się przekraczać, robiąc zdjęcia za pomocą żelatynowych błon.



Józef Wiśniowski.

BURZA.

I.

Burza idzie! Pomruki groźne zewsząd płyną,
Jeszcze napół-wyraźne, mgliste, słabe, mętne,
A już, mimo to, straszne, już czuć w nich namiętne
I pełne dziwnej grozy ech; mkną przez siną

Powłokę chmur i huczą. Wiatr zawiał olszyną
I począł z niej dobywać jakieś szepty smętne,
Zresztą milczenie ciężkie, nieme, obojętne
Objęło świat i tylko hen, hen, sfer głębiną

Biegną posępne hasła niedalekiej burzy;
Coraz bliżej są, bliżej... wreszcie... ha! olbrzymi
Grzmot wypadł z za chmur, strwożył i ogłuszył ziemię;

Szalony orkan zagrał nagle piekielnymi
Głosami i szedł naprzód, gdyby półbóg, duży,
W błyskawicowych ogni złotym dyademie.

II.

Lecę, płynę! — „Hej, naprzód, naprzód, naprzód!"— [woła
Głos jakiś demoniczny, rozlany, w bezkresie,
Żądza ruchu i lotu porywa mię, niesie
Hen, hen, w przestrzeń, na ostre śnieżnych gór [przyczoła.

Myśl rozigrana, wolna, lotna i wesoła
Z wichrem biegnie w zawody, w dal posępną rwie się,
A orkan wyje w polu, pląsa w czarnym lesie,
Kąsa, siecze i depce wszystko dookoła.

Huragan dziki idzie na zbóż pełne łany,
A co spotka w swej drodze, łamie i druzgota,
Bryzga zniszczeniem, śmiercią, pastwi się, szaleje...

Nagle!.. Słabnie orgii pęd nieokiełzany,
Świat napełnia przedziwny smutek i tęsknota,
I z wysiłku, czy z bolu, myśl i ziemia mdleje.



Epigonizm współczesny.

W ostatnim zeszycie *Ateneum* znajdujemy artykuł w. m. Kozłowskiego p. t. „Epigonizm współczesny", zawierający charakterystykę najmłodszej umysłowości i twórczości literackiej w stosunku do dawnego romantyzmu.

W zakończeniu swych uwag o epigonizmie p. W. M Kozłowski zwraca uwagę na przesadne reklamiarstwo młodych poetów naszych.

„W pokoleniach dawniejszych — mówi on — rzeczą prawie niesłychaną było, aby pisano studyum o kimś żyjącym, a jeśli się to zdarzało, to oczywiście wtedy, gdy nagromadził dosyć owoców i to tego rodzaju, że wyjątek podobny wydawał się usprawiedliwionym. Nasi najmłodsi, wprzód jeszcze, nim się wezmą do pióra, mają przyjaciół, którzy, pełniąc rolę ich Janów Chrzcicieli, zwiastują światu narodzenie nieznanych geniuszów, a czynią to najczęściej z taką bezceremonialnością, że w ludziach z poczuciem przyzwoitości wywołują przykry niesmak i rumieniec wstydu za literaturę (chociażby *in spe*) reklamowaną, jak kawa żytnia lub ekstrakt słodowy. Smutniejsze jest, że i dzienniki warszawskie udzielają czasem miejsca tego rodzaju reklamom; na ten raz ograniczam się do przepisania urywka z pisma galicyjskiego, zastępując nazwisko (które, rozumie się — bo o to przecie idzie — zawsze jest wypisane wszystkiemi literami) literą X.

„Ten pan nazywa się X., a pod tem nazwiskiem ukrywa się pan bardzo dziwny. Poeta, który zdaje się mieć wstręt do pióra. Artysta, który nie odczuwa głodu uznania. Dotychczas jeszcze żaden krytyk nie miał sposobności znęcać się nad książką, podpisaną przez X. On wogóle nie pisze książek. On nie ma popędu do przetapiania w farbę drukarską każdego ze swoich wewnętrznych wstrząśnień, nie każe przechodniom i stałym odbiorcom księgarni zajmować się każdą katastrofą miłosną..." Zdawałoby się, że taki skromny pączek cnót domowych, nie szukający i nie pragnący szerszego pola działalności, mógłby spokojnie rozkwitać dla przyjemności i szczęścia swoich naj bliższych przyjaciół. Po cóż ma o nim wiedzieć szeroka publiczność? Po co otrąbiać te cnoty w „oryginalnej" korespondencyi dziennika brukowego? Powód, rozumie się, znalazł. Oto pan X. wygłaszał odczyt w miasteczku kąpielowem. Oryginalny korespondent wszakże, zajmując 60 wierszy druku roztrząsaniem tego wypadku, całą tę korespondencyę poświęca jego osobie... a z odczytu figuruje tylko tytuł. Za to pełno tu rozważań nad tem, czy autor będzie kiedyś sławnym, czy podoba się kobietom i t. d.

Wybraliśmy jeden z najskromniejszych kwiatków tej reklamy literackiej, a pomnażać przykładów nie chcemy. Nadmienimy tylko, że tematem rozważań niekiedy bywa dramat, który nienarodzony jeszcze geniusz ma zamiar napisać; że czasami zwiastuje nam o tem, iż za kilka lat ma zostać profesorem jakiegoś przedmiotu, do którego studyowania ma oto nieba wem przystąpić, lub też na dowód niezwykłej dojrzałości talentu przytacza się związki matrymonialne, przez niego zawarte (oczywiście imponuje to młodszym kolegom mieć przyjaciela na „ty" i już żonatego!.).

Jeśli możemy z uśmiechem pobłażliwym i wzruszeniem ramion pomijać niektóre dziwactwa epigonizmu współczesnego, to owo zaczepienie reklamy w stosunkach literackich należy już stanowczo potępić w imię wymagań przyzwoitości i etyki fachowej, która wiązać powinna wszystkich rycerzy pióra".

„Manru" Paderewskiego.

Lwów z gorączkową niecierpliwością wyczekuje zapowiedzianego na przyszły tydzień wystawienia w teatrze miejskim opery „Manru", napisanej przez Paderewskiego.

Rzecz tę 29 z. m. wystawiono w teatrze nadwornym w Dreznie z niebywałem powodzeniem. Uwertury „Manru" nie posiada; po kilku taktach, w których prześliczny temat powtarzający się wielokrotnie w ciągu opery ma obojka, podnosi się zasłona, a scena przedstawia krajobraz tatrzański. Na scenie rojno i gwarno, to dożynki.

Piękna od pierwszej chwili muzyka w której niejednokrotnie odzywają się nasze swojskie tematy ludowe, potęgują z każdą sceną, a finał z przepyszną muzyką baletową (taniec zbójecki) i chórami, wywiera potężne wrażenie.

Drugi akt również nie posiada przygrywki. Starcia dramatyczne na scenie mnożą się, piętrzą.

Ulana śpiewa przedziwnie piękną kołysankę, za sceną zaś hen z poza wichrów dolatują dźwięki cygańskiej melodyi i podniecają w Manru tęsknotę za swoimi, za swobodą, za cyganami. To natchnione solo skrzypcowe jest prześliczne, porywające, tyle w nim uczucia, tyle poezyi.

Następuje duet Ulany z Manru; oryginalny w koncepcyi, prześliczny w melodyi, bynajmniej nie banalnej, przykuwa uwagę słuchacza, unosi go, zachwyca. Kurtyna po raz drugi spada, a słuchacz marzy dalej, upojony dźwiękami potężnego duetu miłosnego.

Akt trzeci posiada już introdukcyę orkiestrową. W Dreźnie grano to cacko orkiestrowe przy spuszczonej zasłonie, zaś pp. Pawlikowski i Spetrino, mają zamiar wykonać to we Lwowie przy podniesionej zasłonie.

Orkiestra w mistrzowski sposób ilustruje nadciągającą burzę. Instrumenta wyraźnie mówią: drżyjcie, bo klęska się zbliża, bo nastąpi starcie żywiołów. Burza w przyrodzie i burza w sercach! Wśród tego na scenę wpada znękany Manru: już ma dość miłości i pieszczot Ulany, on pragnie swobody, on chce być nadal cyganem...

Czarne chmury pędzą z za wirchów, przysłaniając całunem księżyc. Znużony, wyczerpany, pada Manru i usypia snem ciężkim, niespokojnym. A orkiestra gra ciągle, gra wspaniale i przypomina w formie reminiscencyi motywów to wszystko, cośmy w operze dotąd słyszeli. Więc i motyw przewodni Ulany i motyw chytrego Mefista górala Uroka, a więc motyw miłosny i motyw zdrady słyszymy w urywanych co kilka taktów wspomnieniach to wszystko, co przeżyli i odczuli bohaterowie tej wioskowej tragedyi. Tak zastaje śpiącego Manru sprowadzona przez Uroka banda cyganów. Następują sceny dramatycznie i muzycznie tak potężne, że opisać się nie dadzą; to musi się widzieć i słyszeć.

Namiętna syrena Aza ostatecznie odnosi zwycięstwo nad chwiejnym Manru, porzuca herszta bandy Orosa i z powodzeniem wabi dawnego kochanka.

Opuszczona przez Manru biedna Ulana topi się w jeziorze, a prawie w tej samej chwili zdradzony przez Azę Oros, strąca swego nieszczęśliwego rywala Manru w przepaść tuż za Ulaną. Jak syk jadowitego węża, okrzykiem złowróżbnej pokraki Uroka „Oto masz go!" kończy się opera.



Ze świata.

Nowe zużytkowanie autografów. Znane są wszystkim modne, haftowane pasy, które zdobią dziś stoły, na obrusie układane a zwane lauframi. Otóż pewna mieszkanka Berlina, przyjmująca u siebie wybitnych artystów, literatów i dziennikarzy, wpadła na pomysł zastąpienia wzorzystych haftów na laufrach autografami. Uprosiła wszystkich znajomych, aby wypisali nazwiska swoje na białych zupełnie laufrach, a następnie wyhaftowała je barwnemi jedwabiami; wielu z pomiędzy uproszonych dodało do podpisu wiersz jakiś, aforyzm, lub rysunek, tak, że pomysłowa pani domu ma wielce oryginalny zbiór autografów haftowanych.

Wyprawa podbiegunowa. We Włoszech organizuje się nowa wyprawa do bieguna Północnego, celem odszukania zaginionych uczestników wyprawy ks. Abruzzów, Guerini'ego, Ollivier'a i Stocken'a. Towarzysze szukali ich przez pół roku i musieli nareszcie powrócić. Zdaniem głośnego podróżnika austryackiego Payer'a, mała jest nadzieja znalezienia zaginionych; pytany w tej sprawie wyjaśnił, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa kra lodowa, na której się znajdowali, oderwała się i uniosła ich ku zachodowi, w kierunku Szpicbergu, że zaś mieli mały zapas środków żywności, przeto niechybnie zginęli. Taka kra zaczyna się poruszać tak nieznacznie, że znajdujący się na niej nic nie miarkuje; gdy po wędrówce, która może trwać godziny, bo kry podbiegunowe to istne pola, dotrze do jej brzegu, wówczas dopiero spostrzega, że unosi ją prąd i że jest zgubiony, o ile nie ma ze sobą łodzi.

Nowe utwory d'Annunzia. Według wiadomości nadchodzących z Rzymu, głośny pisarz włoski pracuje obecnie nad poematem dramatycznym, p. t. „*Francesca da Rimini*", trzy akty tego utworu są już gotowe. Nadto pisze d'Annunzio dramat wiejski, p. t. „*Ifigli della terra*" (Dzieci ziemi), do którego treść zaczerpnął z życia wieśniaków w Abruzzach. Wypytywany przez jednego z dziennikarzy rzymskich, autor objaśnił, że w sztuce tej oświetli jaskrawo obyczaje krajowe i charakterystyczne zwyczaje, dzisiaj jeszcze w Abruzzach przestrzegane przy narodzinach, weselach i pogrzebach. Uniesienia liryczne będą zupełnie z tego dramatu chłopskiego wyłączone, a żadna z osób grających nie powie więcej nad trzydzieści słów naraz.

Najkosztowniejszą książką na świecie jest chyba kopia Koranu, ofiarowana niedawno przez emira Afganistanu szachowi perskiemu. Okładka ze szczerego złota, ma $2^2/_4$ cala grubości i wysadzana jest 167 perłami, 122 rubinami i 109 dyamentami; a przedstawia wartość 600.000 fr.

Domenico Morelli, jeden z najsławniejszych żyjących malarzy włoskich, zapadł tak ciężko na zdrowiu, że niema nadziei utrzymania go przy życiu.

Bańki mydlane.

Z różnych źródeł pochodzi
Różnych ludzi dorobek..
Jeden łasy na cudze,
Drugi sknera, lub skrobek;
Temu trzoda się darzy,
Ów na „dworskiem" wypasa...
Różnie ludzie mówili
O Macieju z pod lasa!
Nie tak dawno — chudzina
Dzisiaj — bogacz nielada!
Z „gęsią" sypia, rok długi
Dobrze pija i jada...
Dawniej chodził na „piechty",
Dziś wasągiem, w paradzie!
Przyodziewek najlepszy
Ma w całuśkiej gromadzie!
Jak kobi-tę ustroi,
Niczem sama sołtyska!
Co niedziela strój inny:
Nowy fartuch, czy kryzka!
A i w izbie bogato
Wszelakiego obrządku..
To też ludzie Macieja
„Obnosili" z początku:
Że się ze złym zadaje,
Że czaruje, że wróży,
Że grosz cudzy zagarnął,
Uroniony w podróży!
Każdy gadał to, owo,
Każdy z bajką się ozwał...
Aż się Maciej pogniewał
I do sądu ich pozwał.
Tu się wszystko wydało..
Wobec sędzi ławników
Dokumentnie wykazał,
Że ma „profit" z „letników"!
Wyrachował do grosza:
Ile z masła, jaj, mleka,
Ile z kąta za spanie
Miał z jednego letnika!
I dziś każdy Maćkowi
Sprawiedliwość przyznaje,
Bo takiego dochodu
Żadne.. bydlę nie daje!

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.